

Rafał Ziemkiewicz: Jak być zwariowanym realistą

Chciałbym być realistą, ale nie bardzo rozumiem, na czym może polegać realizm i czym się różnić od gotowości do bójki, kiedy ci bandzior rabuje portfel



Chciałbym być realistą, ale nie bardzo rozumiem, na czym może polegać realizm i czym się różnić od gotowości do bójki, kiedy ci bandzior rabuje portfel

Kusi mnie, oczywiście, by uczynić ten Subotnik, ostatni w roku 2011, polemiką z polemiką Łukasza Warzechy z moją polemiką z jego polemiką z filmem Joanny Lichockiej, a przy okazji polemiką z wplątany przez Łukasza w powyższe polemiki esejem Dariusza Karłowicza. Tylko że czytelników pewnie by to nie skusiło do lektury. Więc choć niby wolność ziomku w swoim domku, to znaczy, na swoim blogu, spróbuję jednak narzucić poniższemu tekstowi strukturę inną od przerzucania się kolejnymi kontrargumentami na cudze kontrargumenty.

Mam zresztą wrażenie, że w dużym stopniu, zbiegiem okoliczności, polemikę z Łukaszową pochwałą politycznego realizmu okraszoną akcesem do „białych” przeciwko „czerwonym” (w sensie, jaki te określenia miały przed wybuchem Powstania Styczniowego) a także z niektórymi tezami Karłowicza, stanowi mój tekst sprzed kilkunastu dni publikowany w dzisiejszym „plusie minusie”.

Napiszę więc tutaj o czymś trochę skądinąd, ale a propos. W tygodniku „Myśl Polska” ukazał się oto historyczny artykuł Macieja Motasa (fragment zapowiadanej większej całości) pt. „Uniknąć tragedii narodowej – Stronnictwo Narodowe wobec stanu wojennego”. Dokumentuje on to, co uważam za najbardziej dziś skretyniałą i wstydliwą część tradycji endeckiej, a zarazem stanowi poglądowy przykład, w jaki sposób zdrowy rozsądek i realizm w polskiej tradycji zwykły się wyradzać.

Mówiąc najkrócej, w chwili, gdy naród polski przeżywał czas wielkiego odrodzenia i uniesienia, jakim był ruch „Solidarności”, znaczna liczba wychowanków tradycji narodowej znalazła się w opozycji do tego ruchu – z czasem przybierającej formy coraz bardziej namiętne i obsesyjne. Że tak się stało z działającym w kraju stowarzyszeniem „Pax”, dałoby się od biedy wyjaśnić jedynie kolaboracją, konformizmem i infiltracją tej organizacji przez agenturę SB. Ale wypowiedzi narodowców klepiących biedę na emigracji, najusilniej wszak zwalczanych przez komunizm, a mimo to z odległego Londynu w imię „politycznego realizmu” usprawiedliwiających Jaruzelskiego, gromiących „Solidarność” i nawołujących Polaków w kraju do posłuszeństwa Sowiecom, w żadnym wypadku w ten sposób wytłumaczyć nie można. Im po prostu masowy ruch społeczny kompletnie nie pasował do wyznawanej wizji polityki jako dziedziny bardzo elitarnych gier i spisków.

„Dziwni narodowcy” – złościł się na tę endecką emigracyjną sklerozę Wojciech Wasiutyński – „których nacjonalizm opiera się na nieufności wobec własnego narodu. Którzy w tej niewątpliwej rewolucji narodowej, jaką było półtora roku »Solidarności« widzą przede wszystkim intrygę agentów obcych, demoniczne działanie KOR, co zmusiło Jaruzelskiego do ogłoszenia stanu wojny...” Tę sytuację (w starym felietonie pozwoliłem sobie ją podsumować: „narodowcy przeciwko narodowi”) zrodził wyrodzony makiawelizm. Dmowski twierdził, że w stosunkach między narodami liczy się tylko siła, i wyprowadzał z tego wniosek, że Polacy muszą budować polską siłę do obrony polskich interesów. Jego późni epigoni z przekonania o rozstrzygającej roli siły wyciągali już wniosek dramatycznie odmienny: że skoro o wszystkim decyduje siła, to Polska powinna kłonić się przed silnymi, i że właśnie na podporządkowywaniu się sile – z jednoczesnym odrzuceniem wartości moralnych i tradycyjnych polskich tęsknot jako „głupoty” – polega polityczny realizm. Skamieliną tego sposobu myślenia, anachroniczną, a przez to groteskową, pozostaje dziś publicystyka wspomnianej „Myśli Polskiej”, pełna pouczeń, że mądre i realne jest sławić Łukaszenkę i Putina, kochać Rosję, bać się Zachodu, potępiać głupie „smoleńskie” histerie oraz bronić jako wielkiego Polaka Jaruzelskiego.

Oczywiście, emigracyjny krąg Jędrzeja Giertycha czy późny Pax (po tym, jak utracił szansę pójścia z „Solidarnością”) nie miały w swym „realizmie” nic wspólnego z Dmowskim, poza skłonnością do ulegania fobii masonskich i żydowskich spisków. Był to – i w wypadku skamieliny wciąż pozostaje – realizm zapomnianego dziś Erazma Pilza

i Wielopolskiego juniora, z ich Stronnictwem Polityki Realnej (do którego tradycji odwoływał się, nie bardzo do dziś rozumiem dlaczego i po co, Korwin, tworząc w latach osiemdziesiątych zaczątki UPR). Ich realizm polegał na demonstracyjnym podlizywaniu się carowi, słaniu mu wiernopoddańczych adresów i stawianiu pomników, w przekonaniu, że udobruchany tym zaborca rozpocznie ze swymi poddanymi dialog. Był to, rzeczywiście, „realizm polityczny” pierwszej próby. Równie realistycznie byłoby oczekiwać od rolnika, że wejdzie w polityczny dialog ze swoim inwentarzem dlatego, że zaczął przy znoszeniu jajek, dojeniu i w jatce wydawać odgłosy wdzięczności i oddania.

Temat wart jest osobnego eseju. „Realiści” odrzucają wariackie kryteria insurekjonistów, wywiedzione z romantycznego „słuszna sprawa musi zwyciężyć” i „mierz siły na zamiary” – dobrze, rozumiem i nawet się zgadzam. „Realiści” odrzucają takie złudzenia jak racja, prawość, słuszność – też dobrze. Z czego zatem rozliczać realistów? Proponuję – ze skuteczności. Chyba wszyscy na to przystaną.

No, więc właśnie pod tym względem tradycja polskiego realizmu politycznego, do którego nieopatrznie odwołał się Warzecha, zgłaszając przeciwko „czerwonym” pisowcom i drugoobiegowcom akces do „białych”, jest kompletną klęską, nieporównywalnie większą, niż klęski wszystkich naszych powstańczych „wariactw”. Co ugrał Pax, idąc za Komenderem, zamiast za Reifem? To, że w przemianach 1989

narodowcy zostali całkowicie zamiecieni na margines, jako żałosne podogonie komunistów, czerwonym już do niczego niepotrzebne, a w oczach narodu i Kościoła skompromitowane całkowicie. Co ugrali Pilz z Wielopolskim juniorem? A Wielopolski senior z „białymi”?

Przykładów jest sporo, a wszystkie zdają się dowodzić, że w Polsce realizm nigdy się nie sprawdza. Realistyczna strategia polityczna Dmowskiego oparcia się w obliczu nadchodzącej wojny światowej na Rosji przeciw Prusom przez samego Dmowskiego oceniona została po krótkim czasie jako kompletna klęska, podobnie jak klęską zakończyła się pokolenie wcześniej realistyczna polityka Adama Czartoryskiego, a jeszcze pokolenie wcześniej Stanisława Augusta Poniatowskiego (bo współcześni historycy mają rację, dowodząc, że nie kierowało nim żadne miłosne oddanie carycy ani zaprzaństwo, tylko pewien realistyczny i wcale niegłupi projekt polityczny). Jedynie galicyjskim „stańczykom” udało się co nieco osiągnąć – ale tylko dla upadających Austro – Węgier, dla Polski nic.

„Biali” w swych kolejnych przegranych inkarnacjach zwykli oskarżać o spowodowanie tych klęsk „czerwonych”, twierdząc, że Królestwo Kongresowe albo reformy Wielopolskiego były o krok od sukcesu, i tylko „nieszczęśliwie zdarzona w kraju insurekcja” wszystko popsuła. Każdy historyk udowodni, że to bajki. Polski realizm polityczny wciąż brał w łeb, ponieważ nie natrafiał na gotowych do gry na realistycznych

zasadach partnerów. Ani carowie Rosji, ani Kajzer z hakatą, ani tym bardziej Sowietci nie byli zainteresowani żadną ugodą ani współpracą z Polską. Byli zainteresowani jej wynarodowieniem albo eksterminacją.

Jak to się ma do wspomnianych na wstępie polemik? Bardzo luźno, jako przestroga. Całym sercem chciałbym być realistą, dusza moja woła o polityczny realizm i tęskni za nim nie mniej niż Łukasz, ale nie bardzo rozumiem, na czym może polegać realizm, i czym się różnić od gotowości do bójki, kiedy ci bandzior rabuje portfel grożąc połamaniem kości. Łukasz może wiedzieć, bo więcej ode mnie rozmawiał z ministrem Sikorskim. Tylko że właśnie – i tu nagle dźwięczy w jego polemikach fałsz – jest dziś Sikorskiego najgorętszym i najbardziej nieprzejednanym na prawicy krytykiem, zupełnie odrzucając jego argumenty, zaczerpnięte właśnie z arsenału politycznego realizmu i w jego obrębie logicznie umotywowane.

Realizm nie polega, jak sądzę, na tym, żeby wiedzieć, jak być powinno, tylko żeby rozeznąć sytuację jaką ona jest i do niej dostosować swe działanie. I tu się kompletnie, jako „czerwony” nie rozumiem z „białym” (w sensie, jaki te określenia miały przed wybuchem Powstania Styczniowego) kolegą. Oczywiście, pełna zgoda, że powinna być „jedna” Polska, a nie dwie, że Polacy powinni ze sobą rozmawiać, a nie próbować się nawzajem eksterminować. Tylko że tak nie jest. Realnie istnieje podział, który tworzono przez dwie dekady, a oparto na głęboko

zakorzenionym podziale postkolonialnym, co nadaje mu niezwykła siłę, a po Smoleńsku, który jedna ze stron usiłuje po prostu zamieść pod dywan, umocnionym niezwykle silnymi i oczywistymi emocjami. (Co słusznie zauważa, w tej sekwencji polemik, Piotr Legutko) I ten podział nie zniknie. Łukasz wie dobrze, każdy zresztą kto przeczytał „czas wrzeszczących staruszków” wie też, jaka jest moja ocena PiS i jego lidera – i wie też, że dla władzy i jej lemingów ja i tak jestem i pozostanę „pisowcem” – do odstrzału. I Łukasz też nim pozostanie, żeby nie wiem co robił, bo jest zbyt uczciwym człowiekiem, by zrobić to, co Niesiołowski, Wołek albo Michalski. Nawoływanie „Polski drugiego obiegu”, która zbuntowała się przeciwko ciągłemu i skutecznemu odcinaniu jej od kanałów debaty publicznej, żeby się nie godziła z podziałem tworząc własne kanały, tylko włączała do tych oficjalnych, przypomina logikę zachodnich pacyfistów, gdy potępiali Bośniaków za to, że stawiając opór Serbom eskalują wojnę domową.

Realnie – realnie właśnie – mamy taką sytuację, że jest podział, w którym jedna strona chce, żeby Polska była Polską, a druga, żeby jej nie było, żeby się rozplynęła w europejskiej rodzinie narodów, bo inaczej nigdy się nie unowocześni. Podział, w którym jedni chcą krzawić polskiego ducha i wiarę w wartości wyższe oraz wspólne dobro, a drudzy zrobić mentalny reset, po którym ludność miejscowa będzie myśleć tylko o konsumpcji i beztróskim bzykaniu się każdy z każdym, najlepiej w obrębie swojej płci. I, co najważniejsze, jest to podział, w którym ci drudzy są ideologami warstwy rządzącej, mają więc w ręku wszystkie narzędzia władzy, media elektroniczne i większość drukowanych, wsparcie unijnych potęg sypiących grantami i dofinansowaniami. A przede wszystkim mają głębokie, ideologicznie

uzasadnione przekonanie, że Polacy-katolicy nie mają w ogóle prawa istnieć, że dla dobra Europy, świata, oczywiście nowego i wspaniałego, muszą „wyginąć jak dinozaury”. Jak najszybciej. I dziś, po doświadczeniach rządu Olszewskiego czy rządów PiS w latach 2005-2007, oczekiwanie, że wychowani na Michniku totalniacy kiedykolwiek się pogodzą, by patrioci, prawicowcy mogli uczestniczyć na równych prawach w demokratycznej grze, głosić swoje szkodliwe, reakcyjne poglądy, by mieli realną możliwość wygrywać wybory – takie zakładanie, że z obecną władzą i jej salonami da się jakoś ustalić sposób życia, bo przecież mieszkamy w jednym kraju, jest równie naiwne, jakby kto, uczciwszy proporcje, chciał tłumaczyć niemieckim Żydom, że dla wspólnego dobra muszą się w końcu jakoś z Hitlerem dogadać.

W tej sytuacji – zgłaszać pretensje do „wolnych Polaków”, którzy budują drugi obieg, że powinni dążyć do odbudowy jednej Polski i jednego obiegu dla wszystkich? Czyli że co, Lichocka źle robi kręcąc filmy własnym przemysłem, bo powinna to robić w telewizji publicznej albo zgoła w TVN, a działacze klubów źle robią, że te filmy pokazują na zamkniętych pokazach, bo powinno się je pokazywać w normalnych kinach? Może jeszcze Warzecha ochrzani w imię realizmu Wildsteina, że to nie „Dolinę Nicości” nagrodzono Nike, tylko żałosny agit-prop Słobodzianka? A ja wtedy zgłoszę pretensje do samego Warzechy, że zamiast prowadzić dla mas program publicystyczny w TVP, najlepiej po „M jak miłość”, oddał to Lisowi, a sam ogranicza się do przekonywania przekonanych na niszowych portalach internetowych.

Zgodziłbym się uwagami Łukasza, gdyby dotyczyły one polityków. Ale klubów „Gazety Polskiej”, „Solidarnych 2010”, Instytutu Sobieskiego, portali takich jak rebelya.pl czy pomniksmolenski.pl, Fundacji Republikańskiej, rozmaitych stowarzyszeń lokalnych etc. etc. nie tworzą politycy, ani ludzie o ambicjach politycznych. Zresztą realizowanie takich ambicji zablokowana została ustawami, które dopuszczają do polityki wyłącznie dwory albo mafie. Nie wszyscy chcą być dworakami lub mafiosami. Jeśli komuś się mimo to chce, zamiast siedzieć na upie w chałupie, poświęcać swój czas Sprawie i budować infrastrukturę niezależnego, „obywatelskiego”, jak to postulowano przed rokiem 1989, społeczeństwa, to moim zdaniem należy mu się za to uznanie, a nie dąsy, że z punktu widzenia politycznego realizmu to on powinien robić zupełnie co innego.

Tyle w temacie, przynajmniej na razie, chociaż oczywiście, spór „białego” z „czerwonym” jest odwieczny, i, jak symbolizuje nasza flaga, oba pierwiastki w narodowym myśleniu są równie konieczne. W sumie chodzi o jedno: jak tu być realistą, gdy się należy do narodu samym swoim upartym trzymaniem się istnienia przeczącym zasadom realizmu?

Swoją odpowiedź ująłbym w parafrazie znanych słów z kultowego dla mego pokolenia filmu Bruce'a Lee: realizm jest „jak palec wskazujący księżyc; nie skupiaj uwagi na palcu, abyś nie przegapił niebiańskiego blasku”. Te słowa dedykuję Ci, Łukaszu, jako i innym „białym”.

rp.pl, 31.12.2011

Przeczytaj polemikę Łukasza Warzechy